

Nr. 10. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **15. Maja.**

JAN TARNOWSKI.

I.

Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, zarazem starosta sandomierski, stryjski, lubaczowski i grodecki, pogromca Wołochów i Moskwy, mąż surowej i nieposzlakowanej cnoty, wielki siłą swego charakteru i miłością ojczyzny, odważny w boju, sprawiedliwy w sądzie, mądry i roztropny przy obradach, był jednym z znajznakomitszych ludzi i najdzielniejszych bohaterów swojego czasu. Urodził się on w r. 1488. Ojciec jego także Jan, kasztelan krakowski, był potomkiem rodziny, która od niepamiętnych czasów wiel-

kie dla ojczyzny pokładała zasługi, odznaczając się w każdym razie, gdzie było potrzeba czy to ofiary z zdrowia i życia, czy poświęcenia majątku dla dobra kraju — matka, Barbara Zawiszanka, była wnuczką owego sławnego Zawiszy Czarnego, którego nazwisko weszło w przysłowie, iż gdy kto w ostatecznem zwątpieniu pokłada w drugim całą swoją nadzieję, mówi doń: „Polegam na tobie jak na Zawiszy.“

Jan Tarnowski, którego życie i czyny mamy wam opowiedzieć, utracił ojca jeszcze w dzieciństwie; była to dla niego pierwsza gorycz, pierwsza boleść w zaraniu życia; szczęściem pozostała mu matka, która wzięła na siebie trudy wychowania, pozostało mu dwóch starszych braci, z których później jeden zginął na Bukowinie, drugi zaś umarł przedwcześnie jako wojewoda sandomierski.

Wyszedłszy z dzieciństwa przepędził pierwsze lata swojej młodości na dworze Frydryka kardynała, królewica, następnie u króla Olbrachta, kierując się radami Macieja Drzewickiego, biskupa przemyskiego, który wówczas był podkanclerzem koronnym, a jako mąż prawy i mądry wspierał go chętnie światłem swego rozumu. Pod jego to okiem Jan Tarnowski, acz jeszcze młodzian niemający doświadczenia, postępował drogą wskazaną sobie przez przodków, okazując przy każdej sposobności zarody przyszłych cnót i przyszłej wielkości. Widząc to król Olbracht okazywał się coraz łaskawszym i życzliwszym dla młodego swego dworzanina, i tak go nawet polubił, że ze wszystkich dworzan jednemu tylko Tarnowskiemu pozwolił każdego czasu bez wezwania przychodzić na pokoje; Tarnowski tak się zawsze zachowywał, z taką roztropnością postępował w każdym kroku, i tyle posiadał przytem słodyczy charakteru potrzebnej do jednania sobie serc ludzkich, że nie tylko starsi ale i rówieśnicy pokochali go wkrótce, i nikt mu nie zazdrościł względów jakie miał u króla, owszem wszyscy się cieszyli że ich doznaje ten, co jest godniejszym od innych.

Po śmierci króla Olbrachta nie zmieniło się w niczem położenie Tarnowskiego. Wzrastając w lata, wzrastał zarazem

nieustannie w cnotach i rozumie, sprawowaniem się swojem coraz więcej zwracał na siebie uwagę powszechną, i nie można było wątpić, że w niedalekiej przyszłości ziści nadzieję, krórą o nim powzięto od początku. Jako pierwszy dworzanin na dworach królów Aleksandra i Zygmunta, nie tracił czasu na rozrywkach i zabawach; daleki od wszelkiej lekkości, oddawał się wyłącznie i wszystkiemi siłami temu, co w przyszłości miało mu być potrzebnem, kształcił się przez czytanie ksiąg poważnych, przez obcowanie z najznakomitszemi w kraju osobami, zgłębiał historję ojczystą, doskonalił się w taktyce wojennej, a nauka praw krajowych i wymowa były jego ulubionym przedmiotem. Z królem Zygmuntem jeździł do Węgier na sławny zjazd monarchów.

Męstwem i walecznością, jak niemniej zdolnościami wojskowemi odznaczył się po raz pierwszy podczas wojny z Moskwą, a mianowicie w bitwie pod Orszą, gdzie dowodził świetnym hufcem młodzieży należącej do najpierwszych rodzin w Polsce.

W roku 1517 straciwszy matkę wybrał się w długą i daleką podróż dla zwiedzenia cudzych krajów, celem rozszerzenia zakresu swoich wiadomości i nabrania doświadczenia. Odbył najprzód pielgrzymkę do ziemi świętej, a zwiedziwszy Syrję i wybrzeża afrykańskie wrócił do Europy i udał się do Grecyi, następnie do Włoch, gdzie zwiedzał zabytki starożytności, a nareszcie do Hiszpanii i Portugalii, gdzie wówczas toczyła się krwawa i zacięta wojna z Maurami. Jan Tarnowski stanąwszy na dworze króla portugalskiego Emanuela, takie wzniecił w nim zaufanie do swojej osoby, że król poznawszy jego rozum i zdolności powierzył mu dowództwo nad częścią wojsk swoich. Tarnowski nie zawiódł położonego w nim zaufania, owszem tak się odznaczył, że król Emanuel już go puścić nie chciał od siebie i obiecywał mu najwyższe zaszczyty i godność, byleby chciał pozostać w Portugalji i poświęcić swoje zdolności przybranej ojczyźnie. Ale Tarnowski nie mógł tego przenieść na sobie, w krótkim czasie zatęsknił za Polską i zrzekłszy się wszelkich spodziewanych w Portugalii wielkości, pożegnał króla Emanuela. Opuściwszy krainę, w której zjednał sobie sła-

wę i miłość a zostawił żal i pamięć niewygasłą, udał się w podróż przez Anglję, Francję i Niemcy i niebawem wrócił do rodzinnej ziemi, przywożąc z sobą listy zalecające do króla Zygmunta od papieża Leona i cesarza niemieckiego Karola.

O dalszych czynach i zasługach tego wielkiego męża opowiemy wam w przyszłym numerze Przyjaciela dzieci.

Z PIEŚNI WIĘŹNIA.

Ranek w ogrodzie więźniów.

Ranek się oblekł rumianym śmiechem,
Niebo tchnie ku mnie czerwcowym oddechem,
Cóż to za zapach w tych murach nieznany!
To z wiejskiej łąki oddech zabłąkany,
Kędyś od Zboisk, czy hen, od Hołoska!
Boże mój Boże! gdzie jest nasza wioska?!
I gdzie te czasy kiedyśmy po łące
Bujali sobie przez trawy szumiące?

O! płyń mój wietrze! Niech cię w siebie biorę!
Niechaj odżyją tobą piersi chore!
I chora dusza niech odżyje tobą...
O! gdybyś wiedział co ty niesiesz z sobą?

Ach widzę! widzę i łąki skoszone
I wonne siano w kopy zgromadzone;
To sianokosy — polskie sianokosy!
Dzięki i za to — i to kropla rosy!

Winc. Pol.

Mali żołnierze.

II.

(Dokończenie *).

Dzień szkolnych popisów zawitał wreście i zakończył niecierpliwe oczekiwanie małych uczniów — żołnierzów. Zaraz z rana zgromadzili się wiejskie chłopczyki do szkoły. Byli oni świątecznie postrojeni i piękny przedstawiali widok w swych czystych i bielutkich koszulkach i świtkach.

Szkoła była w znak niezwykłej uroczystości ozdobiona w wieńce z zielonej, woniejącej choiny. Niebawem wszedł do szkoły pan nauczyciel, później ksiądz proboszcz i ojciec Gustawka — a wreście rodzice wiejskich chłopaczków, których zaproszono tożsamo na szkolne popisy.

Egzamin poszedł najpomyślniej. Mali uczniowie odpowiadali na każde zapytanie biegle i trafnie i dali dowody swej wprawy w czytaniu, pisaniu i liczeniu. Zadowolony ksiądz proboszcz pilnością uczniów porozdawał im w nagrodę piękne książeczki z obrazkami ku wielkiej ucieszе wiejskich chłopczyków i ich rodziców, którzy niezmiernie uradowani byli z postępów swych dzieci.

Skoro się skończył egzamin wybiegli mali uczniowie z promieniejącemi od radości oczyma na podwórze, a Gustawek ucałowawszy rękę ojca, zawołał:

— A teraz nastąpi wielka musztra!

Ojciec przyzwolił chętnie i rzekł z uśmiechem:

— Dobrze moje dziecko! Pozwalam ochotnie — bo zasłużyliście na zabawę swą pilnością.

Rzekłszy to spojrzał ojciec Gustawka na starego furmana Jana, który tuż stał przy boku, jakby mu chciał coś przypomnieć i dodał:

*) Patrz Nr. 6. Z przyczyn niezależnych od redakcji nie mogliśmy dać wcześniej dokończenia niniejszej powiastki.

— Bawcie się pięknie i grzecznie — a udajcie się do starego Jana, to wojak dawny, da wam nie jedną dobrą radę.

Gustawek zawołał tedy znowu:

— Dyżurny!

Kapral Wasylko przybiegł natychmiast i salutując zapytał o rozkaz:

— Uderzyć na apel! Niechaj wojsko stanie natychmiast pod bronią!

Wasilko odbiegł z rozkazem a niebawem stanęli w szeregu na łące mali żołnierze.

Gustawek zrobił przegląd wojska, odczytał imiona i rozpoczął musztrę. Małe wojsko okazało wielką zwinność i wprawę we wszystkich ruchach i obrotach wojskowych a Gustawek dowodził tak dobrze, że nawet stary Jan, który siedział sobie w pobliżu na pniaku i kurzył swą ulubioną fajkę, klasnął w dłonie i zawołał z ukontentowaniem:

— Wybornie!

Gdy musztra potrwała już czas dłuższy, powstał Jan z pniaka i rzekł do Gustawka:

— Dosyć już musztry, teraz należy wykonać jakiś manewr wojenny.

— A jakże to? — zapytał Gustawek.

— Oto tak — odpowiedział stary Jan z uśmiechem. Altanka, która tam stoi w brzozowym lasku niech będzie twierdzą. Wojsko niechaj się podzieli na dwie strony nieprzyjacielskie. Panicz dowodzić będzie jedną, Wasylko drugą armią.

— I cóż dalej? — zapytał ciekawie Gustawek.

— Otóż — mówił Jan dalej — Wasylko jako nieprzyjaciel będzie chciał ubiedz twierdzę, która niema załogi i pospieszy ku niej marszem strategicznym przez ową łąkę, co się ciągnie przez pole. Panicz zaś dowiedziawszy się o tym ruchu nieprzyjacielskim uda się zaraz w marsz pospieszny, aby wy-

przedzić nieprzyjaciela i zasłonić zagrożoną twierdzę. W tym celu obierze paniczyk drogę przez sady. Obie drogi są jednej długości i chodzi tylko o to, aby panicz nie dał się wyprzedzić nieprzyjacielowi i nie przybył za pożno do twierdzy, bo w takim razie obsadzi ją już Wasylko i sprawa przegrana.

— Doskonale! — zawołał radośnie Gustawek.

— Jedno tylko wymawiam sobie — rzekł dalej Jan — obaj dowódzcy niechaj mi dadzą słowo honoru że zakażą wojsku biedz, tylko maszerować będą krokiem szybkim.

Gustawek i Wasylko zgodzili się na to chętnie i oba wojska wymaszerowały w ordynku wojennym dwoma różnemi drogami.

Zostawmy teraz wojsko nieprzyjacielskie a udajmy się za armią Gustawka. Wojsko jego maszerowało jakiś czas szybko i w porządku, lecz gdy przyszło minąć sady, zdarzył się bardzo nieszczęśliwy wypadek.

Było to już późne lato, a na drzewach owocowych, które rosły w sadzie, czerwieniły się prześliczne, rumiane jabłuszka.

Straż przednia armji Gustawka ujrzawszy tak piękne owoce zatrzymała się nagle mimowoli. Gustawek myślał że to znak iż nieprzyjaciel jest blisko, pospieszył tedy naprzód i zapytał:

— Co tam?

Straż przednia nie odpowiedziała nic; ale patrzyła na jabłoń, której gałęzie uginały się pod ciężarem smacznych owoców.

Gustawek zatrzymał się i pożądliwem okiem patrzał na czerwone jabłuszka. Ślinka mu zabiegła na język i nie mógł oderwać swych oczu od ponętnych jabłek. Za jego przykładem poszło całe wojsko. Gustawek nie mógł się oprzeć pokusie — i niebawem zapomnieli mali żołnierze o zagrożonej twierdzy i powyłaziwszy na drzewa, poczęli smacznie zajadać jabłka.

Wtem jakby piorun rozległ się nagle głos surowy:

— Chłopcy a to co znowu?!

Przerażeni chłopcy spojrzeli po za siebie i ujrzeli ojca Gustawka.

— Zleść natychmiast! — zawołał z gniewem ojciec.

Gustawek i jego żołnierze z strachem pozskakiwali z jabłoni i zaczerwienione od wstydu twarze pochylili na dół.



— Gustawku, co to znaczy? — zapytał surowo ojciec.

— Chciałem wysłać wojsko na prowiant! — odpowiedział pomięszanym głosem winowajca.

— A więc tak czynią waleczni żołnierze? — zawołał ojciec. Kiedy nieprzyjaciel zagraża i trzeba pospieszać swoim na ratunek, prawy żołnierz nie myśli o prowiancie! Zresztą przyszliście na rabunek nie na prowiant — bo nawet w wojnie cudzej własności naruszać się nie godzi. To szkaradnie Gustawku! Idźcież teraz dalej, a jeżeli podczas waszej karygodnej biesiady zajął nieprzyjaciel twierdzę, to surowo odpowiecie za waszą winę!

Gustawek nie dał sobie powtórzyć dwa razy rozkazu, lecz pospieszył natychmiast naprzód.

Wróćmy teraz do armji Wasylka. Maszerował on ustawicznie, nie zatrzymując się nigdzie i istotnie przybył pierwszy przed twierdzę. W twierdzy tej, czyli raczej w altance, znajdowali się rodzice Gustawka, ksiądz proboszcz, pan nauczyciel i wiele innych gości.

Gdy Wasylko ujrzał że wyprzedził nieprzyjaciela, wysłał do twierdzy parlamentarza i zażądał aby się ludność poddała. Z serdecznym śmiechem uczyniono zadość temu zawezwaniu a stary Jan rzekł do Wasylka:

— Naczelniku! poddajemy się na łaskę lub niełaskę, albowiem pomoc, której oczekiwaliśmy, dotąd nie nadeszła. Jako zwycięscy oddaję ci twierdzę całą.

Wasylko wmaszerował z radością i w tryumfie do twierdzy.

Stary Jan zaś mówił dalej:

— Poddawszy się twemu wojsku, oddaję ci także broń i amunicję, która znajduje się w twierdzy.

I rzekłszy to dobył kilkanaście karabinków z blachy z błyszczącemi bagnetami i wręczył je wojsku Wasylka.

Wasylko i jego towarzysze nie wierzyli swym oczom. Dopiero na powtórne zapewnienie Jana że to wszystko do nich już należy, porzucali niezgrabne kije i z radośnem uniesieniem chwycili za broń nową.

Ładneż to były karabinki! Błyszczały się z dala w promieniach słońca, że aż miło patrzeć było — a tak sztucznie były urządzone że można je było nabić mokremi gałkami z kłaków, które za pociśnięciem kurka wylatywały z luf jak kule.

— To jeszcze nie wszystko — odezwał się znowu Jan — Naczelniku oddaję ci także artylerję!

I wydobył małą mosiężną armatkę. Mali żołnierze aż oniemieli z radości. Lecz niebawem ocknął się z osłupienia

Wasylko i pomyślił o obronie twierdzy. Staremu Janowi oddał komendę nad artylerją. Armatkę nabito prochem a Jan z zapalonym lontem ukląkł przy niej, aby każdej chwili powitać nieprzyjaciela działowym ogniem.

Tymczasem Wasylko porozstawiał straże dokoła twierdzy, kazał nabić broń, ponasadzać bagnety i oczekiwał spokojnie nieprzyjaciela. Zaledwie wszystkie rozkazy Wasylka zostały wykonane, aż tu naraz okazało się zawstydzone i zadyszane wojsko Gustawka.

Gustawek spojrzał na twierdzę i zgryzł się ogromnie gdy już w niej ujrzał nieprzyjaciela. Jeszcze bardziej uderzyło to Gustawka i jego żołnierzy że nieprzyjaciel uzbrojony był w prześliczne karabinki z bagnetami.

Gustawek zaledwie wstrzymać się mógł od płaczu, lecz odzyskawszy nareście odwagę, zawołał z zapałem na swoich żołnierzy:

— Koledzy! Nieprzyjaciel zajął twierdzę i zabrał broń nową! Powetujmy naszą hańbę i odbierzmy mu oboje!

Tymczasem Wasilko podnosząc dobyty pałasz zawołał:

— Za późno! Poddajcie się!

Duma odezwała się w Gustawku i odpowiedział:

— Nigdy — Żołnierze! Na bagnety! Szturm! Hurra!

I rzucił się naprzód — za nim pobiegli żołnierze. Lecz Wasylko nie uląkł się tego ataku, lecz zakomenderował:

— Piechota ognia!

Mali żołnierze wystrzelili z ładnych karabinków i kilkanaście kul z mokrych kłaków uderzyło po nosach wojsko nacierającego Gustawka. Żołnierze jego przywitani tak nieprzyjemnie stracili odwagę i zdumieni stanęli.

Ale Gustawek nie stracił zapału i wołał ciągle:

— **Hurra! Naprzód!!**

Wtedy zawołał Wasylko:

— Artylerja ognia!

I stary Jan wypalił z małej armatki. Na huk strzału i widok dymu poczęli pierzchać żołnierze Gustawka, a Wasylko zrobiwszy wycieczkę z swem wojskiem zabrał wszystkich wraz z Gustawkiem do niewoli i rozbroił ich zupełnie.

Biedni zwyciężeni chłopcy musieli iść z zawstydzonem licem pod eskortą nieprzyjaciela, a gdy przyprowadzono ich do altanki, przywitali ich zgromadzeni tu goście głośnym śmiechem

— A teraz trzeba złożyć na Gustawka sąd wojenny! — zawołał ojciec.

Gustawek nie posiadał się ze wstydu a zgryzoty i łzy wybiegły mu na twarz.

— O! tak — zawołał stary Jan — podobną winę surowo karze prawo wojenne!

— A ja proszę o amnestję! o ułaskawienie! — odezwał się na to ksiądz proboszcz.

— Panie Naczelniku Wasylko czypozwalasz na to? zapytali przytomni, zwracając się do zwycięzkiego wodza.

Wasylko chętnie na to przystał i wszyscy zasiedli do smacznego podwieczorku w altanie. W skutek ułaskawienia otrzymali i żołnierze Gustawka nowe piękne karabinki i cała sprawa zakończyła się wesoło. Ale dosyć to było kary dla Gustawka i jego towarzyszów — i raz na zawsze dali sobie słowo nie tykać cudzych jabłuszek, choćby najsmaczniejszych i najrumieńszych.

KILKA WSPOMNIEŃ
z życia
FRANCISZKA KARPINSKIEGO.

Każde z was, kochane dziatki, umie zapewne na pamięć owe piękne wierszyki nabożne, które bogobojni ludzie odśpiewują z rana i wieczorem a które się zaczynają: „Kiedy ranne wstają zorze“ i „Wszystkie nasze dzienne sprawy....“

Śliczne te pieśni są powszechnie znane, chwali niemi Boga nietylko mieszczanin bogaty, ale i lud wiejski i wyrobnicy ubodzy — i nieraz wam może się zdarzyło mali czytelnicy widzieć prostaczków poczciwych, którzy zaczynając zrana swą pracę dzienną śpiewają na nabożną nutę: „Kiedy ranne wstają zorze.“

Lecz czy wiecie wy kochane dziatki, kto te pieśni piękne ułożył?... Oto Franciszek Karpiński, poeta polski, który oprócz tych hymnów na cześć Boga napisał wiele jeszcze innych przecudnych spiewek, a najwięcej wiejskich.

Wiem dobrze, że ciekawiście usłyszeć kilka bliszych szczegółów o tym Franciszku Karpińskim, to też opowiem wam tu kilka zdarzeń z jego lat dziecinnych, kiedy był jeszcze tak maleńkim, jak wy kochane dziateczki, i tak jak wy swobodnie igrał i bujał w rodzinnym swym domku.

Franciszek Karpiński urodził się w Galicji, a to w tej części polskiej prowincji, którą zwiemy Pokuciem albo obwodem Kołomyjskim, we wsi Hołoskowie, trzy mile od Stanisławowa.

Zaraz w pierwszych chwilach swego życia przebył Franciszek bardzo ciekawą przygodę, którą wam tu opowiem Zaledwie przybył na świat przyszły poeta, kiedy słynny opryszek Dobosz, który podówczas z wielką bandą rabusiów żył z rozbojów w górach pokuckich, napadł na dóm jego rodziców, chcąc im zabrać majątek a może i życie. Matka Fran-

ciszka była mocno chora, ojca nie było w domu, a malutkiego Karpińskiego tuliła niańka, gdy naraz Dobosz ze swą zgrają wpadł do pokoju.

Biedna matka ujrzawszy strasznie uzbrojonych zbójców straciła zmysły i omdlała — ale za to niańka nie straciwszy odwagi wyszła z małym Franciszkiem na ręku naprzeciw Doboszowi i rzekła do niego:

— Miej pamięć na Boga, na tę matkę biedną i na to niemowlę, nie rób im żadnej przykrości, a przyjmiemy cię jak dobrego gościa!...

Słowa te rozczuliły Dobosza i zapewnił niańkę, że ani sam ani towarzysze jego nic złego w domu nie wyrządzą. Niańka zastawiła zaraz na stół ser, chleb i gorzałkę i prosiła zbójców aby jedli.

Dobosz zasiadł z opryszkami do jedzenia i spokojnie się zachowywał, a gdy zjedli, powstał dowódzca zbójców Dobosz i zbliżywszy się do niańki, która trzymała w ramionach dziecię, rzekł:

— Chociaż jestem zbójcą, to przecież mam serce w piersiach i za nic w świecie nie uczyniłbym nic złego niewinnemu dziecięciu. Oto masz trzy dukaty odemnie na pamiątkę.

A zbliżywszy się potem do matki Franciszka, tak się do niej odezwał:

— Proszę was bardzo pani, abyście temu małemu chłopczykowi dali moje imię Ołeksa na chrzcie, aby pamiętał. żem w dzień jego urodzin był gościem w domu jego rodziców.

Potem odszedł spokojnie z opryszkami.

Zdarzenie to opowiada Franciszek Karpiński w swoich pamiętnikach, które sam pisał, a które z was każde, kochane dziatki, gdy podrośniecie trochę, powinno przeczytać dla nauki i rozrywki. W pamiętnikach tych zapisał poeta polski wie-

le przygód pouczających i zabawnych z swych lat dziecinnych, to też niektóre z nich przytaczamy wam tu dosłownie.

I tak pisze Karpiński:

„Już byłem w szkole w gramatyce, kiedy na wakacje przyjechawszy do domu, brat mój starszy, będąc retorem, a mając skłonność do stanu duchownego, (co potem ziścił) w bliskiej izdebce kazania przy rodzicach miewał, kiedy raz żartując ojciec zapytał mię, czyli też i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wystąpiłem zaraz na miejsce, które się niby amboną nazywało, gadałem może z pół godziny same słowa nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak giesta wszystkie kaznodziejskie udając, jak się napatrzyłem na kazaniach w Stanisławowie, ale co ojca najwięcej zabawiło, żem w tym słów niezwiązanych natłoku nigdy się niezastanowił; zyskałem od rodziców daleko więcej za moje kazanie jak brat starszy, bo on zimne tylko pochwały, a ja rodzynki i gruszki odebrałem. Dzieckiem będąc w szkołach, już ja ciebie słodka przyjaźni poznałem! Do czterystu studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko, Sosnowskiego i Malickiego, tak jak oni do mnie przylgnąłem? Trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniej przyjaźnie ludzkie umacnia, a na którym na ten czas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, w sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączać zwykło. Z Sosnowskim, który był w niższej szkole odemnie, do takiej przyjaźni przyszło, żeśmy sobie w kościele poprzysięgli, że się do śmierci kochać będziemy.“

Tak to już za młodu okazywał Franciszek Karpiński czułe serce, które potem w jego wszystkich pieśniach tak pięknie się objawiało. Bo przyjaźń prawdziwa, kochane dziateczki, to jedno z najszlachetniejszych uczuć, a kto umie znaleść i kochać przyjaciela, ten pewnie nie będzie złym człowiekiem, bo źli ludzie nigdy nie czują miłości do swych bliźnich. Jakoż Franciszek Karpiński dotrzymał wiecznie przyjaźni koledze swemu Sosnowskiemu, a jak ten umarł, to płakał po nim jak po braciszku.

Karpiński kochał także ogromnie swych rodziców, chociaż ci bardzo surowi byli dla niego i nigdy, osobliwie ojciec, niedarowali mu żadnej psoty. Za tę surowość nigdy niemiał żalu do ojca Franciszek, owszem gdy tenże już umarł, zawsze z wielkim żalem i czułością o nim wspominał i mawiał że gdyby nie surowość dobrego ojca, nie byłby nigdy porzucił swawole i pustoty, do których małym będąc chłopcem wielki miał pociąg.

Do tej swawoli przyznawał się zawsze sam Karpiński, bo nic niema przyjemniejszego, jak przypominać sobie błędy, których się na zawsze już pozbyliśmy. Oto co mówi poeta:

„W szkołach mniejszych najpierwszy byłem między kolegami moimi do swawoli; jakże to wiele żydom okien powybijanych? koło domu, gdzie zwodziłem ludzi przechodzących porzuconym wśród drogi szóstakiem przywiązanym przez dziurkę do długo skręconej włosieni białej, a patrząc przez okno, kiedy się przechodzący do zdjęcia szóstaka schylał, pociągnąwszy nagle przez okno włosień, szóstak z nią razem ku mnie uciekał.“

Były to igraszki dziecinne i Franciszek skoro podrósł trochę zaraz je porzucił, jak każdemu grzecznemu chłopaczkowi przystoi.

Mówiłem już wyżej, że Franciszek Karpiński czule ojca swego kochał. Był jeszcze maleńkiem dzieckiem a już niewahał się, nawet życie swe dla ukochanego ojca poświęcić, czego macie dowód w następującym ustępie jego pamiętników:

„Jużem miał lat 12, kiedy ojciec mój wyzwany na pojedynek od towarzysza przedniej straży Janiszewskiego, nazajutrz rano na tę walkę wychodzić miał, i mimo najsurowszego nas przez ojca naszego trzymania, tak się we mnie gorąca dla niego miłość odezwała, żem długo w noc pokryjomu szabelkę moją ostrzył, ażebym nazajutrz w czasie rozpoczęcia pojedynku z tyłu Janiszewskiego w głowę uderzył, choćby mi i zginąć przyszło. Ale zawzięci pogodzili się bez bitwy, a

ja zyskałem na tem, kiedy się ojciec dowiedział, bo mi piękniejszą szabelkę kupił."

Ukończywszy szkoły począł Karpiński pisywać śliczne wierszyki, które mu u wszystkich przywiązanie i cześć jednały. Pieśni jego zwróciły nawet uwagę króla Stanisława Augusta i księcia Adama Czartoryskiego, który wziął go do siebie za sekretarza.

Odtąd miał Franciszek Karpiński wstęp do dworu królewskiego i do największych panów polskich, a wszędzie przyjmowano go z uszanowaniem, na jakie sobie swym talentem i zacnością zasłużył. Lecz nie mógł długo wytrzymać poeta wśród miejskiego życia i przepychów pańskich, zatęsknił niebawem za wsią, którą kochał bardzo i przenosił nad wszystkie miejskie uciechy.

Wrócił znowu do swej rodzinnej wioski i osiadł w domku swym rodzinnym. Kiedy po długiej niebytności oglądał po raz pierwszy napowrót te kąciki, w których dzieckiem bujał i igrał razem z siostrzyczkami i braciszkami, nie mógł się wstrzymać od głębokiego rozrzewnienia i napisał piękne wierszyki, które się tak zaczynają:

Otóż mój dom ubogi — te lepione ściany,
Te okna różnofarbne, piec niepolewany,
I biedna strzecha moja!... Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło!...

W tem zaciszu wiejskiem, wśród ukochanych łąk i gajów przeżył Franciszek Karpiński resztę życia swego, a doczekawszy się wysokiego wieku, umarł zostawując powszechny żal za sobą.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna **Aniela Zawadzka.** Drukiem K. Pillera 1864.